

## PIENIĄDZ NA NOWY WIEK

*Pieniądz dłużny, ten kamień filozoficzny XX wieku, zdolny zamieniać papier w złoto, właśnie traci moc. Co dalej?*

### Lata tłuste, lata chude

Oto znowu mamy kryzys finansowy w USA. Nie pierwszy i nie ostatni. Był już kryzys paliwowy, była bańka internetowa, jest zapas w kredytach hipotecznych, a gdy ta się skończy – będzie chwila uspokojenia, może entuzjazmu, aż przydarzy się jakiś nowy kryzys... Wydawałoby się, że to tylko cykle gospodarcze: po siedmiu latach tłustych przychodzi siedem lat chudych, po euforii – trwoga, a PKB, to wolniej, to szybciej, ale ciągle rośnie; akcje drożeją, konta puchną, rozwój nie ustaje. Cóż – to prawda – rozwój, tyle że... choroby. Choroby pieniądza.

Dwieście lat temu, na początku XIX stulecia, za jednego dolara można było kupić około 1,6 grama złota; sto lat temu, na początku XX stulecia – półtora grama, i taka cena pozostawała aktualna aż do Wielkiego Kryzysu lat 30-tych, po którym siła nabywcza dolara ustabilizowała się na poziomie około 0,9 grama złota. Ten poziom utrzymywał się bez większych zmian aż do lat 70-tych, kiedy to dolar oderwał się od parytetu złota, po czym zaraz imponująco zanurkował. Pod koniec roku 1970 za dolara można było kupić 0,83 grama złota, a z końcem kolejnych lat: 0,71... 0,48... 0,27... 0,16...

Przez cały XIX wiek dolar stracił na wartości kilka procent, w ciągu dwudziestu lat Wielkiego Kryzysu i Wielkiej Wojny – siedemdziesiąt procent, a przez pierwsze kilka lat dysparytetu stanął pięćset procent. Z początkiem drugiego tysiąclecia dolar był wart 0,114 grama złota, na koniec siódmego roku tysiąclecia tylko 0,037. W obecnym, ósmym roku, dług publiczny USA może wzrosnąć dwukrotnie i proporcjonalnie do tego będzie mogło przybyć dolarów. Ile wtedy będzie można kupić złota za zielony banknot? Wciąż więcej niż setną część grama?

Jeśli wierzyć liczbom, a nie zakłębionym polityków czy finansistów, kryzys nabiera tempa i coraz bardziej wymyka się spod kontroli. Dolar odgrywa dziś centralną rolę w systemie finansowym świata. Kryzys dolara szybko musi stać się kryzysem światowym, dotyczącym nawet tych, którzy w życiu nie widzieli zielonego banknotu. Różne diagnozy uwypuklają różne aspekty kryzysu, ale wszystkie można sprowadzić do tego, że na świecie jest za mało bogactwa, a za dużo pieniądza – oczywiście, jak zawsze, nie u wszystkich.

## Krótką historia dolara

Imperialna kariera dolara jest krótka, liczy raptem sześćdziesiąt lat i chociaż jeszcze trochę potrwa – na dociągnięcie do pełnych stu lat panowania szansa jest niewielka. To będzie raczej krótka historia. A było to tak:

Globalnym mocarstwem wieku pary była Wielka Brytania, a światową walutą był brytyjski funt. Globalnym mocarstwem wieku ropy są Stany Zjednoczone i światową walutą jest amerykański dolar. Wiek ropy powoli się kończy, choćby dlatego, że kończy się ropa. To jednak nie oznacza od razu ani końca dominacji USA, ani nie unieważnia dolara. Oddanie światowego prymatu przez Wielką Brytanię wymagało w XX wieku dość mocnych argumentów: jednego Wielkiego Kryzysu i dwóch wielkich wojen, a trwało to wszystko trzydzieści lat, nawiasem mówiąc: dość okropnych lat. Należy uznać za bardzo wątpliwe, czy Ameryka da się zdezonizować łatwiej niż jej poprzedniczka, tym bardziej, że na razie nie ma komu.

Drugą Wojnę Światową zakończyły dwa wielostronne porozumienia: militarne w Jałcie i finansowe w Bretton Woods. Jałta dzieliła świat na polityczne strefy wpływów amerykańskich i rosyjskich zaś Bretton Woods ustanawiało światowy ład finansowy z uprzywilejowaną rolą USA. Z grubsza rzecz biorąc, banki centralne całego świata uznały za nadrzędny bank amerykański – FED, który dysonując zgromadzoną w USA większość światowego złota, wystawił pokwitowania praw do tego złota, zwane właśnie dolarami. Każdy banknot dolarowy był równoważny 1/35 uncji, czyli 0,89 grama kruszcu. Takimi to banknotami banki centralne całego świata wypełniały swoje skarbcze, traktując je jako lżejszy odpowiednik metalu. System ten załamał się na początku lat 70-tych, kiedy prezydent Nixon poinformował świat, że papier i złoto to jednak nie to samo.

Dolar pozostał mimo to centralną walutą świata, częściowo w wyniku instytucjonalnej oraz intelektualnej bezwładności, a częściowo dzięki narzuconemu alternatywnemu zabezpieczeniu na ropie, czyli zmonopolizowaniu rozliczeń naftowych przez tzw. petrodolara. FED był nadal centralnym bankiem centralnych banków, a dolar światową walutą rezerwową.

Ład jałtański stracił moc w roku 1989, choć nie jest pewne, czy się całkiem skończył, czy tylko uległ modyfikacji. Mniej więcej w tym samym czasie, rozpoczął się demontaż systemu petrodolara: powstało euro jako alternatywna waluta rezerwowa, a poszczególne kraje naftowe próbowały odchodzić od dolara, na wiarę w którego trzeba je było nawracać z coraz większym wysiłkiem. W ciągu siedmiu lat ekspansji euro, dolar oddał jednak tylko kilka procent udziału w rezerwach bankowych, zmniejszając swój udział z 72% do 64%. Jest to na razie niewielka strata. W tym tempie, proces wypierania dolara przez euro musiałby trwać przeszło pół stulecia. To za długo. Tyle już dolar nie wytrzyma, przynajmniej – nie taki dolar.

## Wszystkie pieniądze świata

System, który się właśnie zdestabilizował, wygląda co do istoty i w wielkim, ale chyba nie fałszującym uproszczeniu tak: kiedy rządowi USA brakuje pieniędzy, musi zaciągnąć dług. Stwarza wtedy obligacje skarbowe i wymienia je w amerykańskim banku centralnym, FED, na stwarzane tam dolary. Potem rząd pokrywa pozyskanymi od FED dolarami różne wydatki, a FED sprzedaje pozyskane od rządu obligacje na rynku, teoretycznie już za inne, ale faktycznie za takie same dolary, jakimi wcześniej płacił rządowi.

W warunkach równowagi, FED pozyskuje dla siebie najwyżej tyle pieniędzy, ile ich wcześniej wytworzył dla rządu. Ilość pieniędzy banku centralnego jest więc powiązana z ilością

obligacji skarbowych i przez nią limitowana. Gdyby rząd sam odkupił te swoje obligacje od banku centralnego, zniknąłby i dług publiczny, i pieniądz. Ale wtedy cała formuła za szybko redukowalaby się do skądinąd słusznej postaci:  $0=0$ .

Dolary FED trafiają do banków komercyjnych, w których są rozmnażane, gdy że banki wydają swoim kredytobiorcom wielokrotność posiadanych pieniędzy. Dolary banków komercyjnych powstają w momencie udzielenia kredytu, a ich zabezpieczeniem są przyszłe spłaty kredytobiorców, którzy tym samym, gdy zaciągają kredyt, stają się gwarantami bankowego pieniądza. Kreacja pieniądza w bankach komercyjnych jest – z natury – ograniczona przez zadłużenie kredytobiorców, a prawnie – przez rezerwy obowiązkowe FED: banki muszą bowiem pewną część swoich pieniędzy deponować w pieniądzu FED. Część tę określa stopa rezerw FED, która – *de facto* – mówi, ile bank komercyjny musi mieć pieniędzy, aby pożyczyć 100 dolarów. Teoria finansów nazywa to rezerwą częściową. Zazwyczaj stopa rezerw wynosi mniej niż 10%, dlatego większość dolarów powstaje w amerykańskich bankach komercyjnych.

W podobnej sytuacji (do banków komercyjnych w USA) są banki centralne innych krajów. One także przechowują rezerwy dolarów, mniej więcej proporcjonalnie do wielkości tych rezerw emitując własne waluty, równoległe powiązane z długiem publicznym ich państw. Banki komercyjne tych krajów dalej rozmnażają swoje waluty – z takim mnożnikiem, ile razy stopa rezerw ich banku centralnego mieści się w stu, zazwyczaj jest to od kilku do kilkudziesięciu razy, a więc głównie tam, w bankach komercyjnych, powstają wszelkie waluty.

Patrząc od drugiej strony: nie będąca dolarem waluta powstaje w (nieamerykańskim) banku komercyjnym po prostu w taki sposób, że bank udziela kredytu. Proceder ten jest ograniczony przez stopę rezerw banku centralnego (dla danej waluty) oraz zasób pieniądza banku centralnego. Z kolei, pieniądz banku centralnego powstaje, kiedy ten udziela pożyczki swojemu państwu, a pożyczka ta jest limitowana (głównie) przez zgromadzone w banku centralnym rezerwy dolara. Podobnie kreują pieniądz, tym razem już dolara, banki komercyjne w Ameryce, stwarzając swoje dolary dla kredytobiorców, w ilości ograniczonej przez stopę rezerw obowiązkowych oraz zasób dolara FED. A na samym szczycie tej piramidy, FED produkuje swoje dolary w miarę, jak rząd USA produkuje obligacje, wyrażające dług publiczny USA. Każdy pieniądz powstaje jako czyjś dług – w ilości powiązanej z kolejnymi długami, ograniczonymi przez jeszcze inne długi, i tak dalej – aż do jądra tego wszystkiego, którym jest dług USA.

## Pieniądz i równowaga

Teoretycznie, kreacja pieniądza jest pod wielopiętrowym nadzorem rządów oraz banków. Pieniądz powstaje jako obustronnie dobrowolny dług, w tempie kontrolowanym i przez dłużników, i przez wierzycieli. Cały ten mechanizm reguluje kilka rodzajów liczb, dekretowanych przez rządy i banki, a główne parametry kontrolne wyznaczają rząd USA oraz FED, regulujące światowy zasób dolara. Wydawałoby się, że system jest pod tak ścisłą odgórną kontrolą, że bez jakichś kardynalnych błędów w sterowaniu, powinien pozostawać w równowadze.

Jak zapewniają finansiści, system ma też wbudowany silny mechanizm kontroli oddolnej, stwarzany przez prawny wymóg, aby ilość udzielonych kredytów była równa ilości posiadanych przez banki depozytów. Miałoby to ograniczać rolę banków, które jakoby tylko pośredniczyły pomiędzy tymi, którzy mają nadwyżki pieniędzy (depozytariusze), a tymi, którym pieniędzy brakuje (kredytobiorcy).

Wydawałoby się to sprzeczne z postawioną wyżej tezą, że banki mogą pożyczać więcej pieniędzy, niż ich mają. Kiedy jednak spojrzeć na to zdroworozsądkowo, to zbilansowanie kre-

dytów i depozytów można interpretować tak, że skoro praktycznie wszyscy trzymają swoje pieniądze na rachunkach bankowych i skoro praktycznie każdy pieniądź wyraża czyjś kredyt, to arytmetyczna równość sum kredytów i depozytów (w całym systemie) jest tylko potwierdzeniem definicji pieniądza. Byłaby to zatem tylko taka niezobowiązująca tautologia ku pocieszeniu mniej wnikliwych.

Pieniądź to nie tylko dług, ale jeszcze: dług oprocentowany. Odsetki od tego długu, też zresztą regulowane przez banki centralne, muszą być corocznie pokrywane z nadwyżek dochodów państwa (i kredytobiorców) nad kosztami, a jeżeli tych nadwyżek nie ma i odsetki nie są płacone, dopisuje się je do długu, który wtedy rośnie. Dalej, wraz z kapitałem, odsetki wchodzi do cen, stopniowo je powiększając i tworząc inflację. Inflacja z kolei powoduje, że ciągle ta sama gospodarka, nawet przy niezmiennych produkcjach i obrotach, potrzebuje coraz więcej pieniędzy, czyli znowu długu. Stale go więc przybywa, a zapotrzebowanie na pieniądź zaczyna wyznaczać procent składany, który z natury rośnie wykładniczo. Tak też (przy deficytowych budżetach) musi rosnać dług publiczny i prywatny, poprzez swoje oprocentowanie dalej powiększając ceny – i mamy coś, co w cybernetyce nazywa się dodatnim sprzężeniem zwrotnym: długi nakręcają się same, i rosną, przewyższając wszelkie racjonalne wartości. Nazywanie tego wzrostem czy postępowaniem jest trochę mylące.

Rosnące zapotrzebowanie na pieniądź obiegowy można alternatywnie zaspokajać bez zwiększenia długu, po prostu przyspieszając obieg pieniądza. Ten sam pieniądź może być bowiem użyty wielokrotnie. Pieniądź skarbcowy, na przykład złoto, zmienia właściciela rzadko, raz na ileś lat, pieniądź papierowy wchodzi do obiegu raz na ileś dni, ale pieniądź elektroniczny – ograniczany już tylko szybkością elektronów – może być użyty setki razy dziennie. Ponieważ cyrkulację pieniądza w rzeczywistej gospodarce limituje prawdziwy ruch towarów i usług, a ten podlega ograniczeniom fizycznym, biologicznym i społecznym, szybki pieniądź jest wypychany tam, gdzie równie szybki może być obrót, to znaczy na giełdy oraz rynki finansowe, zasysając na nie większość inflacji i wbudowując ją we wzrosty indeksów, które tym samym mierzą, owszem, rozwój, ale nie gospodarki, lecz hiperinflacji.

Gdyby budżety państw, przedsiębiorstw i konsumentów były zrównoważone, to znaczy gdyby ich dochody przewyższały koszty przynajmniej o kwotę odsetek od koniecznego (dla wytworzenia pieniądza) długu, system pieniądza dłużnego mógłby być stabilny. Inaczej mówiąc, gdyby rządy i banki albo chociaż gospodarki – stanowiły oazy powściągliwości oraz roztropności, wtedy działałyby systemowe mechanizmy stabilizacji, jednak w sytuacji niedostatku cnót, system pieniądza dłużnego łatwo popada w nierównowagę, a wtedy wprowadza do finansów wykładniczy wzrost, który – gdy nabiera tempa – objawia się jako kryzys.

Alternatywnie, gdyby gdzieś za pieniądzem stało chociaż ziarno zboża albo kropla wody, przypisane do jednostki monetarnej, system zyskiwałby wewnętrzne mechanizmy stabilności, nie odwołujące się do cnót. Byłoby to może mniej optymistyczne, ale za to bezpieczniejsze i chyba uczciwsze.

## Czyj pieniądź?

Pieniądź zawsze się zużywa, jeden szybciej, inny wolniej, ale każdy obiegowy pieniądź traci z czasem na wartości. Pieniądź kruszcowy ma coraz gorszą wagę lub próbę, pieniądź papierowy ma coraz mniejsze pokrycie w złocie, pieniądź rządowy jest co jakiś czas unieważniany albo denominowany. Niezależnie od teorii, taka jest nieubłagana praktyka finansów: moc pieniądza jest nietrwała.

Dzisiaj świat traci wiarę w moc dolara. Na co jednak miałyby swoją wiarę przenieść? Na euro, franka, funta, rubla, juana? A czym się one od dolara różnią? Chyba tylko tym, że gdzie indziej lokalizują ten sam problem. Praktycznie wszystkie światowe waluty mają taki sam mechanizm kreacji, przypisany do długu. Im więcej pieniądza domaga się gospodarka, tym więcej emitent musi wykreować długu. Kiedy waluta staje się światowa, światowej miary staje się zadłużenie – i kraju emitenta, i jego obywateli, a precyzyjniej mówiąc – klientów jego banków. Euro, frank, funt, rubel, juan – to byłyby tylko alternatywne nazwy kredytu, który i tak nie będzie spłacony.

Jeżeli waluta nie jest naturalna, jak zboże, paliwo czy złoto, jeśli sama przez się ani nie zaspokaja ludzkich potrzeb, ani nawet nie jest pożądanym dobrem rzadkim, wiarę w moc i unikalność waluty trzeba ludziom narzucić. Służą temu policje i armie, strzegące w kraju i za jego granicami monopolu kreacji pieniądza. Pieniądz jest wtedy oparty po prostu na sile. Teoretycy finansów nazywają to *fiat money*, co niekoniecznie jest komplementem.

Im silniejszy politycznie jest emitent, tym bardziej śmieciowy może narzucić pieniądz. Dzisiaj może to być nawet jakaś post-waluta, od zawsze zdematerializowana, oparta wyłącznie na ewidencji kont, po prostu jedna z funkcji globalnej Sieci. W czym byłaby nominowana? Cóż, zero to zawsze zero: zero metrów, zero kilogramów, zero dolarów, zero euro. Można by od razu nazwać taką walutę: zero. Czego zero – to nieważne, ale czyje zero – to już zaczyna się liczyć, bo definiuje może nietrwałe, ale gigantyczne centrum zysku.

Global, kredyt, amer, dolar, mili, micro albo soft – jakkolwiek miałyby się nazywać, globalny pieniądz będzie na razie amerykański. Póki Stany Zjednoczone mają większość atomowych głowic świata i póki są gotowe ich użyć, wystarczające zabezpieczenie amerykańskiej waluty może stanowić wzbogacony uran. Jak długo? Tu jednoznacznej odpowiedzi nie umiem udzielić, mogę tylko przytoczyć (i podtrzymać) swoją diagnozę z 2005 roku, zamieszczoną w książce „Planeta obiecana, studium globalizacji”, rozdział „Świat bez Lewiatana”:

„Wzór stabilności świata oparty na supremacji USA wydaje się realistyczny i wysoce prawdopodobny, przynajmniej w perspektywie pierwszego półwiecza. Później staje się jednym z możliwych i niespecjalnie wśród nich uprzywilejowanym scenariuszem. Hegemonia USA może jednak ustać znacznie wcześniej, nawet w najbliższym dziesięcioleciu.

Finanse USA są dramatycznie nierównowagowe (...).

Zawieszono renty i emerytury, kontrolowany popyt, reglamentacje, rekwizycje, kontrybucje i inne cechy gospodarki sterowanej, zwłaszcza wprowadzone w warunkach pokoju, mogłyby silnie nadszarpnąć wiarę Amerykanów w Amerykę i amerykański pomysł na urządzenie świata. Wojny daleko od granic nie pobudzą ani nie wystraszą ludzi wystarczająco, aby uzasadnić wyrzeczenia. Potrzebne będzie zagrożenie bezpośrednie na terenie USA, jakiś silny konflikt wewnętrzny, poważny terroryzm, napaść nuklearna. To jednak z jednej strony osłabiłoby USA, z drugiej – mogłoby szybko wyczerpać nagromadzone zasoby patriotyzmu.

Wewnętrzna słabość Ameryki, zwłaszcza zaś zwątpienie w sercach Amerykanów, podobne do tego, które niedawno dotknęło Rosjan, to klimat końca hegemonii. Strategiczny sojusz z USA przestanie być dla Rosji tak atrakcyjny jak dzisiaj. Rosja z jej potencjałem strategicznym stanie się chorą, lecz posażną panną na wydaniu, same zaś Stany będą musiały wielokrotnie ograniczyć koszty utrzymania swojego potencjału, a tym samym jego wielkość. Im później to nastąpi, tym mniej powinno być groźne, bo mniej pozostanie pretendentów do statusu globalnego mocarstwa. W połowie stulecia uzasadnione ambicje globalne będą już chyba miały oprócz Ameryki tylko Chiny i być może Indie, jeśli jakoś uwolnią się od klinczu z islamem, i może Europa, jeśli zdąży zyskać głowę.”

## Jaki pieniądz?

Kruszec ściera się i traci wagę, zboże zjadają szkodniki, chleb wysycha, sól namaka, a tytoń wietrzeje. Żadne dobra materialne nie są wieczne. Pieniądz także nie. Jednak pieniądz naturalny, nominowany w jakichś dobrach lub wprost nimi będący, w odróżnieniu od pieniądza dłużnego, nie prowokuje nierównowagi. To wszystko. Tylko i aż tyle.

Ekonomiści „od zawsze” poszukiwali stabilnej miary wartości, niezależnej od dekretów, mód albo koniunktur. Bywała nią ziemia, bywały woły, bywało zboże, bywało złoto, bywała dniówka, bywał mniej lub bardziej wydumany koszyk dóbr. Dzisiaj, samorzutnie i niepostrzeżenie, uniwersalną miarą wartości staje się po prostu energia, łatwa do przetłumaczenia na paliwo, prąd, głowice atomowe, ciepło, światło, ziemię, żywność – same najważniejsze rzeczy.

Całe materialne bogactwo ludzi to Ziemia, a praktycznie cała dostępna nam energia pochodzi od Słońca, które promienia Ziemię nieprzerwanym strumieniem mocy o wielkości przeszło stu milionów Gigawatów. Daje to ponad tysiąc Watów na metr kwadratowy, średnio dwanaście kilowatogodzin na dobę. Dzielne potrzeby człowieka – w strefie umiarkowanej i przy przeciętnym poziomie aktywności oraz zamożności – są porównywalne z energią słoneczną dochodzącą do kilku metrów kwadratowych gruntu. Jedzenie to odpowiednik ćwierci metra, zużycie elektryczności – ponad pół metra, ogrzewanie – metra, transport – trochę powyżej metra.

Na żyjącą dziś osobę przypada (bez Antarktydy) przeszło dwa hektary powierzchni łądów. Rolnictwo angażuje z tego mniej niż ćwierć hektara na grunty orne oraz przeszło pół hektara na łąki i pastwiska. Roczna produkcja *per capita* to 340 kg zbóż, 50 kg ziemniaków, 29 kg manioku, 28 kg soi, 20 kg cukru, 38,7 kg mięsa, 80,5 kg mleka, 8,6 kg jaj, 15,7 kg ryb. I jeszcze pół metra sześciennego drewna, po pół tony węgla oraz ropy i trochę innych surowców. Tak naprawdę, niczym więcej nie możemy rozporządzać.

Ciało dorosłego człowieka zabiera ze strumienia światła słonecznego około metra kwadratowego. Tyle więc każdemu naturalnie przysługuje, dopóki żyje i póki go ktoś nie zamknie w ciemnicy. Gdyby tak nadać średniej dobowej energii słonecznej na metr kwadratowy nazwę sol, jej wielkość nawiązywałaby i do Słońca, i do Ziemi, i do doby życia człowieka, a nazwa zarówno do Słońca, jak do najlepszej waluty w historii, złotego solidusa, wprowadzonego jeszcze przez cesarza Konstantyna i dominującego w Europie przez przeszło tysiąc lat – aż do upadku Konstantynopola.

Sol wynosiłby jakieś dwanaście kilowatogodzin, około dziesięciu tysięcy kalorii, ponad czterdzieści megadżuli. Byłby równoważny (energetycznie) mniej więcej trzem kilogramom zboża, niecałym dwóm kilogramom węgla, przeszło litrowi benzyny i ponad miligramowi czystego uranu. Według dzisiejszych cen, odpowiadałby mniej więcej jednemu dolarowi i trzydziestu paru miligramom złota, ale byłby od obydwu znacznie lepszym pieniądzem.

Energia jako waluta nie podlegałaby inflacji ani fałszerstwom. Poza tym, wymuszałyby zachowania ekologiczne, gdyż nominowany w energii pieniądz niewiele się różni od opłaty za korzystanie ze środowiska. Dodatkowo, pozwalałaby na niesamowitą optymalizację spraw publicznych i finansowanie zadań państwa bez żadnych podatków czy opłat, a tylko w oparciu o konieczny i właściwie naturalny monopol energetyczny, odpowiadający dzisiejszemu przywilejowi druku pieniądza. Obciążenia fiskalne ludności zmalałyby kilkakrotnie... no, w każdym razie mogłyby zmaleć.

A co ze złotem? Czyżby jego blask miał całkiem zgasnąć? Raczej nie. Jest niezastąpione w elektronice, łatwo podzielne i trwałe. Poza tym, przyciąga wzrok, wabi kobiety, podnieca skąpców – nasz gatunek ma jakąś słabość do złota. Złoto jest jednak pieniądzem mało praktycznym. Jest zbyt wartościowe dla codziennych rozliczeń, a zbyt tanie dla przenoszenia dużych wartości. Cena dobrego domu, pół miliona dolarów, to wprawdzie tylko litr złota, lecz

waży aż 20 kilo. Dość trudno byłoby to nosić. Przy wielkich transakcjach, lepszym pieniądzem są standaryzowane diamenty, akumulujące tysiące razy większe niż złoto wartości na jednostkę masy. To jednak waluty bogatych.

A co z najbogatszymi? Oni też mają swój metal: uran, z którego wyrabia się insygnia najwyższej władzy. Ma on bowiem tę fascynującą właściwość, że zgromadzony w odpowiedniej ilości, samorzutnie wybucha, wywołując imponujące zjawiska atmosferyczne i geologiczne, a przy tym gwałtownie zwiększając rangę tego osobnika albo instytucji, która taki fajerwerk potrafi wywołać. Najmniejsza bomba potrzebuje jednak dziesiątek kilogramów uranu, a to odpowiada gigantycznym energiom i kosztom. Uranowe berło jest za drogie, żeby je marnować na fajerwerki. Na szczęście. Na razie.

## Co zatem?

Najbardziej naturalnym i najrozsądniejszym pieniądzem byłaby po prostu energia. Na pierwszy rzut oka, może się ona wydawać mało poręczna: chodzenie po chleb z koszykiem węgla czy butelką ropy pewnie by się łatwo nie przyjęło, ale z ogniwami elektrycznymi już prędzej, a z kodami dostępu czy elektronicznymi kluczami do przyłączy energetycznych – to już naprawdę żaden problem.

Energia nie wymaga konwencji, indoktrynacji ani przymusu; przyjmą ją chętnie nie tylko ludzie, ale też w postaci światła – rośliny, w postaci pokarmu – zwierzęta, w postaci paliw – maszyny. I w końcu: jakość energii chroni fizyka, a ta nie uznaje *perpetuum mobile*, przez co jest z natury niepodatna na kuglarstwo finansistów i na demagogię polityków. To wiele.

2008

*Marek Chlebuś, Pieniądz na nowy wiek, Obywatel 6 (44), Łódź 2008*

**MCH**